



Osiedle z poezją

Tak się złożyło, że spotykamy się w Łodzi, jednak na różnych osiedlach, każda przed ekranem swojego komputera. W mojej okolicy życie zamarło, za to widok na Grabową podsuwa scenariusze do kolejnych historii. Z Olgą Hund rozmawiamy o „Psach ras drobnych” i pracach nad nową książką, o pozaliterackiej funkcji literatury oraz tym, skąd brać historie i właściwe słowa.

Paulina Frankiewicz: Jak się masz jako pisarka i czytelniczka w czasach pandemii?

Olga Hund: Jest to dla mnie podwójnie dziwny czas, bo normalnie mieszkam w czeskiej Pradze. Przed wybuchem pandemii przyjechałam do Polski, co uziemiło mnie tu na dłużej. Najpierw mieszkłam w Krakowie, teraz w Łodzi, zajmuję więc cudze mieszkania. Myślałam, że będzie gorzej, że jestem przyzwyczajona do miejsca, w którym mam biurko, ale odkryłam, że tak nie jest. Okazało się, że zmiany domów, podwórek, miejsc, gdzie piszę mi służą. Paradoksalnie praca nad nową książką idzie mi lepiej niż wcześniej. A jeśli chodzi o czytanie, nie widzę większej różnicy. Czytam tyle samo, może częściej zarywam noce.

Zdradzisz, o czym będzie Twoja nowa książka?

Próbuję napisać coś zupełnie innego niż „Psy”, stworzyć spójną narrację. Mam jeszcze pewne elementy, co do których nie wiem, czy uda mi się je połączyć, ale będę próbować. Historia dzieje się w Czechach. Zaczyna się od przypadkowego morderstwa romskiego dziecka, a cała fabuła opiera się na tym, że policja próbuje sprawę zatuszować, natomiast trójka bohaterów – Polka, Romka i Amerykanin – robi marsz na Pragę po sprawiedliwość. Chciałam, żeby była to powieść klimatem zbliżona do „Tomka na szlaku”, trochę przygodowa, ale poruszająca poważny i współczesny temat,

czyli sytuację Romów w Czechach (i mniejszości narodowych w ogóle), która w Polsce jest podobna, choć na mniejszą skalę.

„Psy ras drobnych” zostały docenione przez krytykę, zdobywając m.in. Nagrodę Conrada przyznaną za najlepszy debiut roku i Nagrodę im. Witolda Gombrowicza. Co te wyróżnienia zmieniły w Twoim życiu?

Mentalnie zmieniły we mnie sporo. Dopiero oficjalne nagrodzenie mnie z zewnątrz sprawiło, że zaczęłam myśleć o sobie jako o pisarce. To wynika z tego, że nie dowartościowujesz swojej pracy i wydaje ci się, że są miliony lepszych osób od ciebie. Pewnie to moja indywidualna cecha, ale też wszystkie jesteśmy w ten sposób wychowywane. Nagrody wiążą się też z komfortowymi warunkami pracy nad kolejną książką. Mam już pewne plany z wydawcą, których, mam nadzieję, koronawirus nie popsuje.

Debiutując powołałaś do istnienia Olę Hund – autorkę, narratorkę i bohaterkę „Psów”. W zakończeniu przyznajesz, że to pseudonim. Stanie się on Twoim pseudonimem artystycznym? A może będziemy mogli Cię czytać pod Twoim nazwiskiem albo jakimś innym, zupełnie nowym?

Zostanę przy Oldze Hund, pisanie pod prawdziwym nazwiskiem nie biorę pod uwagę. Myślę, że w tworzeniu kolejnych postaci mogłabym się pogubić. Bohaterką nowej książki też jest dziewczyna, odnajduję pewne elementy wspólne jej i bohaterki „Psów”, ale to nie jest ta sama postać. Mam nadzieję, że czytelniczki i czytelnicy wybaczą mi tę niespójność. Chciałabym, żeby Olga Hund wyewoluowała w stronę dziewczyny zawierającej w sobie wiele różnych tematów, które chciałabym poruszyć.

Olga Hund napisała również opowiadanie dla miesięcznika Znak.

Tak, a także tekst do nowego numeru „Książek. Magazynu o czytaniu”, poświęconego kanonowi literackiemu. Piszę tam o mojej ulubionej książce.

Spróbujmy doprecyzować, kim jest Olga Hund. Powiedziałas już, że pod tą postacią kryją się różne dziewczyny, że to swego rodzaju podmiot zbiorowy. Skąd się wziął pomysł? I ile ta postać ma z Ciebie?

Chodziło mi o stworzenie postaci fikcyjnej, ale na pewno jest w niej bardzo dużo mnie. Nie sądziłam, że napiszę więcej niż jedną książkę. Na pewno o tym marzyłam, ale nie sądziłam, że tak się stanie, więc nie zastanawiałam się, co zrobić potem z tą bohaterką. Sam pomysł na pseudonim jest analogią do wymyślania nazwy zespołu muzycznego. Wtedy też wszystko możesz wymyślić od początku do końca, tworzysz fabułę, postaci, rozmawiasz z graficzką na temat okładki. To jest całościowy projekt. Nie ukrywam, że pewne znaczenie miało też dla mnie to, że bym nie była rozpoznana w pracy, której nie lubiłam. Pracowałam wtedy w korporacji; to była bardzo niefajna praca w bardzo złej korporacji. Te wszystkie *small talki*, o których się mówi i z których się śmieje to prawda i bardzo nie chciałam rozmawiać na ten temat przy ekspresie w kuchni.

Ciekawa jest perspektywa, z jakiej piszesz. Narracja jest pierwszoosobowa, ale więcej dowiadujemy się o innych pacjentkach szpitala, w którym Hund się znalazła. Dzięki temu książka zyskała na uniwersalności, jest mniej dziennikowa.

Mam sporo z narcystycznej duszy i pracując nad „Psami” dużo pisałam o sobie. Na szczęście większość z tego zostało wyrugowane przez redaktorkę Martę Syrwid. Cieszę się, bo nie zależało mi na jednostkowym świadectwie, ale na przedstawieniu tematu. Depresja jest problemem systemowym, dotyczy wielu kobiet i przebiega w różny sposób. Może nie zupełnie indywidualnie, ale różne kobiety z różnych warstw społecznych przeżywają depresję inaczej i z innego powodu trafiają do szpitala psychiatrycznego. Chciałam oddać głos wielu kobietom, możliwie dużo ważnych dla mnie rzeczy zmieścić w książce. Na szczęście, jak teraz ją czytam, wydaje mi się, że nie zrobiłam tego nachalnie. Myślę, że napisałabym ją tak samo.

Wielu autorów mogłoby Ci pozazdrościć takiej opinii o własnym debiucie. W jaki sposób wyglądały prace nad tak specyficzną skonstruowaną książką?

Fragmety, które ostatecznie się w niej znalazły zostały wyodrębnione z większej całości i tu duży wkład ma redaktorka książki. Nasza praca polegała na wybieraniu najlepszych kawałków z nadmiaru myśli i ułożenia ich w dobrą całość. Może się wydawać, że to rozsypane i rzucone po prostu fragmenty, ale tkwi w nich pewien ciąg przyczynowo – skutkowy.

Język „Psów” jest powściągliwy, sprawozdawczy i tylko czasem pojawiają się krótkie opisy stanów bohaterki. Twoja książka nie jest emocjonalna na poziomie tekstu, a budzi wiele emocji. Jest w niej też dużo ironii, specyficznego humoru, dystansu. To także Twoje narzędzia do radzenia sobie z rzeczywistością?

Na pewno śmiech jest sposobem radzenia sobie z tym, jak paskudnie jest na zewnątrz, przy czym to miecz obosieczny, co starałam się w książce pokazać. Czasem śmiech jest czymś blokującym dobre samopoczucie, bo pozwala maskować prawdziwe smutki, co niekoniecznie jest dobre na dłuższą metę. Sama mam to od dzieciństwa. Teraz mieszkam w Łodzi przy ulicy Grabowej. Kiedy się tu wprowadzałam, nie wiedziałam, że ta ulica ma tak złą reputację. Bardzo dużo się tu dzieje. Patrę przez okno i widzę napis „Cwel się zesrał w radiowozie”. Jest tu chłopiec, który jeździ 200 metrów na rowerze w jedną i drugą stronę – nigdy nie skręca – i robi to cały dzień. Wczoraj widziałam mężczyznę z trzema młotkami. Przechodząc obok powiedział: „Mam trzy. Rozwalam głowy”. Ludzie otwierają puszki z browarami w godzinie otwarcia sklepu. Może się to wydawać komiczne, ale jest to jednocześnie smutne. Natomiast myślę, że gdybym nie zauważała tego akcentu humorystycznego, byłoby mi dużo trudniej.

W pisaniu inspirujesz się obserwowaną rzeczywistością?

Historie wymyślam sama, natomiast impuls prawie zawsze pochodzi z rzeczywistości. Nie wiem, czy wymyśliłabym mężczyznę z trzema młotkami na ulicy. To nie jest tak, że opiszę dokładnie tę sytuację, ale mogę sobie wymyślić na jej podstawie podobną. Ten obrazek uruchamia moją wyobraźnię. Zaczynam się zastanawiać, skąd facet w czasie pandemii wziął tyle młotków i do czego zamierza ich użyć. Albo ten chłopiec na rowerze. Czemu ciągle jeździ po tej samej linii? Do podejrzanych scenek, które wydarzyły się naprawdę zaczynam dobudowywać historie, często podsłuchuję rozmowy. Na tej

samej Grabowej jest sklep z używaną odzieżą, gdzie na drzwiach wisi kartka informująca o jego zamknięciu „z powodu braku zainteresowania”. To chyba najsmutniejsza rzecz, jaką w ostatnim czasie zobaczyłam. Nikt się nawet nie starał napisać, że jest pandemia... Wyobrażam sobie tę kobietę, która całe serce włożyła w prowadzenie sklepu. Może myśli, że prowadzi butik francuski albo ma jakieś stałe klientki i nagle musi iść do domu... To strasznie smutne. Od razu wymyślałam jej miliony życiorysów.

Wydaje mi się, że Twoja książka zyskuje nowe odczytanie w dobie kwarantanny. Izolacja może być pewnego rodzaju opresją dla wszystkich, niekoniecznie cierpiących na depresję.

Sytuacja zamknięcia, do której zostaliśmy zmuszeni na pewno jest bardzo trudna. Nawet jeśli komuś się wydaje, że trzyma się dobrze i wszystko z nim w porządku, nadchodzi moment, nagły przyływ emocji, złości, frustracji. Chwila kiedy reagujemy nieproporcjonalnie do naszego standardowego zachowania w danej sytuacji. Udajemy silne, ale chyba każdego ta izolacja przytłacza.

Pisanie może być formą terapii?

Dla mnie było, ale „Psy ras drobnych” nie są przejawem czy efektem mojego autoterapeutycznego pisania, bo to, co pisałam dla siebie pozostało tylko dla mnie. Może być jakimś przyczynkiem do napisania czegoś, można stamtąd wyciągnąć parę zdań. Sama koncepcja pisania jako fizycznej czynności przelewania myśli na papier może być terapeutyczna, ale to raczej nie jest przeznaczone do druku. W książce starałam się pokazać, że depresja nie jest wzniosła i piękna, więc teksty powstające jako próba sobie z nią pogodzenia też rzadko takie bywają. Niemniej jednak pisanie jako takie jest sposobem radzenia sobie z rzeczywistością. W trudnych momentach piszę bajki. Kiedy miałam żal do kogoś, obsadzałam go w roli złego zwierzęcia. To była bajka, która się działa w lesie i ja jako wiewiórka mściłam się na kimś. To mi pomagało. Miałam wtedy poczucie sprawiedliwości, którego nie musiałam wymierzać w realnym świecie.

Naprzeciw tej potrzebie przepracowywania problemów i lęków wychodzą konkursy typu Pamiętniki Pandemii.

Tak. Pierwsze co pomyślałam, to że sama napiszę taki pamiętnik, ale bardzo spodobała mi się sugestia z ogłoszenia konkursu, aby zachęcić do udziału w akcji swoje babcię i ciocię. Pomyślałam, że to moment, kiedy te osoby powinny to pisać. Swoim językiem. Myślę, że to będzie socjologicznie ciekawe, a oprócz tego zwyczajowo piękne. Przypomniałam sobie, jak się wracało w podstawówce z wakacji i trzeba było napisać o tym wypracowanie. Tu jest trochę podobna sytuacja, tylko pisać będą ludzie dorośli. Podoba mi się koncepcja przeniesienia idyllicznej dziecięcej opowieści z wakacji na pandemię i ludzi w średnim wieku, co nadaje tej sytuacji takiego niepokoju. Strasznie chcę to czytać.

Odnoszę wrażenie, że nie napisałaś „Psów” z pobudek czysto literackich. Ja czytam je jako sprzeciw wobec stygmatyzacji kobiet, które przeszły przez szpital psychiatryczny. Od początku taki był plan?

Chciałabym powiedzieć, że nie, że to wypływa ze środka: piszesz co chcesz, to jest obiektywne i piękne, ale miałam taką misję. Pisałam bez konkretnego założenia, jak chcę pokazać depresję, ale z

misją oddania głosu osobom, które bardzo rzadko wypowiadają się w literaturze. Chciałam wprowadzić ten temat do prozy, jednak bez sterowania nastawieniem do pacjentek szpitala psychiatrycznego. Na to bym sobie nie pozwoliła, myślę, że to jest nie *fair*, co nie zmienia faktu, że w książce pojawiają się moje opinie i uważny czytelnik wyczuje, po której jestem stronie. Jest dużo rzeczy, które mi się nie podoba na świecie i mój sprzeciw wobec nich wynika z punkowego światopoglądu. Jeśli jestem w stanie się w coś zaangażować, staram się to robić. Tak też traktuję pisanie.

Pojawiają się w „Psach” dwie nośne figury – tytułowe psy ras drobnych i antyarka. Czytając je razem można doszukiwać się (anty)biblijnej konotacji i poczucia niesprawiedliwości.

Koncepcja antyarki jest ze mną od dawna. To zbiorowisko ludzi niepotrzebnych, nie takich, jakich chciałoby się zachować dla przedłużenia gatunku. Na antyarkę wsadza się tych najgorszych i zatapia, to rewers tej biblijnej. A jeśli chodzi o psy... całe życie mam psy i dużo moich skojarzeń jest z nimi związanych. Nigdy nie miałam tych małych szczekających i chyba nie chciałabym mieć, więc pomyślałam, że skoro nawet ja ich nie lubię, to kto ma lubić te pieski? Kto ma lubić te kobiety? Poza tym, one szczekają, żeby ktoś zwrócił na nie uwagę. Myślę, że to wymowna metafora.

Inspirujesz się twórczością innych czy raczej Twoja twórczość jest odpowiedzią na brak tego rodzaju literatury?

Na pewno nikim się nie inspiruję, nie chciałabym pisać tak, jak moi ulubieni autorzy i autorki. Są książki, które robią na mnie olbrzymie wrażenie i pewnie dałoby się z nich wyciągnąć jakieś punkty wspólne. Do wspomnianych „Książek” pisałam o „Dniach bez końca” Barry’ego. Bardzo mi się u niego podoba narracja prostego chłopaka, która nie jest przesadnie liryczna, często sprawozdawcza. Momentami pojawia się takie zdanie, że mam ciarki na plecach, taka surowizna. To, co mnie najbardziej inspiruje, to „osiedle z poezją”. Ale nie inteligencki rap Eldo albo OSTR, tylko taka niezamierzona liryczność ciągów słów. W Łodzi na „mojej” ulicy słyszę to ciągle. Takie zdania, że świeczki stają w oczach, że zastanawiam się, jak można co tak pięknego powiedzieć. Podoba mi się takie zderzenie i w taki sposób próbuję pisać. Ostatnio czytam sporo klasycznych narracji. Stendhalowskie powieści, gdzie zdania są pełne, wszystko linearnie wyjaśnione. Chciałabym w ten sposób pisać tylko z tą surowizną, bez bufoniastych metafor. Staram się, aby moja następna książka taka była. Czytam teraz opowiadania Conrada i one mi się bardzo podobają.

Jesteś też tłumaczką ze słowackiego i czeskiego. Literatura z tamtych kręgów jest Ci bliższa?

Myślę, że tak. Zaczęłam się uczyć języka słowackiego nie dlatego, że jest zabawny, ale dlatego, że mi się bardzo spodobał. Pięknie brzmi i pięknie się w nim buduje zdania. Z Czechami mam taki problem, że ich książki, które do niedawna ukazywały się na naszym rynku były bardzo tendencyjne. Wydaje mi się, że odbiór czeskiej literatury w Polsce jest taki, jak chcielibyśmy Czechów widzieć. Piwko w gospodzie, szwejkki, czeski humor. Ewentualną przeciw wagą jest Hrabal. A ta literatura jest dużo bogatsza, bardziej mroczna niż nam się wydaje. Bardzo często jest tak, że te języki są na tyle podobne, że nie znając ich myślisz, że rozumiesz to zdanie, ale na poziomie składni wygląda to inaczej. Piękne rzeczy często powstają wtedy, kiedy przetłumaczy się to słowo w słowo na polski. Dla mnie inspiracją jest lektura tych tekstów i ich przekład, często najpierw ten dosłowny, z którego powstaje poezja.

Praca tłumaczki pomaga Ci w pisaniu?

Na pewno. Mniej więcej w tym samym czasie zaczęłam pisać i tłumaczyć. Praca tłumaczki jest równocześnie twórcza i odtwórcza, na za dużo nie możesz sobie pozwolić, ale spośród kilku synonimów wybierasz słowo, które wiesz, że w tym zdaniu będzie super brzmiało. Dla mnie ważne są poszczególne słowa. Myślę, że dzięki temu, że jako tłumaczka wchodzę głęboko w tekst, jest mi łatwiej dobierać trafne słowa we własnych utworach.

***Olga Hund** urodzona w Małopolsce, w dzieciństwie jeździła na wakacje do Rabki i Krynicy Zdroju. Obecnie mieszka w Pradze i stara się nie wychodzić poza granice Žižkova. Zachłyśnięta sukcesem nagrody im. Gombrowicza i Conrada oddaje się recenzowaniu chińczyków na Google maps. Przypomniała sobie co studiowała i zrobiło jej się przykro. Podobało jej się na eyehategod w Poglosie. W sercu ma czarne niebo, w domu - teraz już pieski (Betty, Calvin, Pinat).*

***Paulina Frankiewicz**, filozofka, doktorantka w Instytucie Filozofii UŁ, zajmująca się filozofią absurdu. W ramach projektu DO DZIEŁA, od kilka lat recenzuje książki, promuje literaturę, rozmawia z pisarkami i pisarzami, odwiedza europejskie księgarnie. Otwiera własną księgarnio-kawiarnię w Łodzi, o tej samej nazwie. Od 2017 roku redaktorka "Literackiej", gazety towarzyszącej festiwalowi Literacki Sopot.*